

Szczepan Twardoch

Stille Nacht

Siódma dwie. Frycek podciągnął wyżej drugi koc i spojrzał na łóżko obok. *Feldfebel* jeszcze spał. Kozuch, którym dowódca się przykrył, unosił się w równym rytmie. Chłopcu nie chciało się już leżeć w łóżku, ale w chacie było tak zimno, że perspektywa odrzucenia kilku koców, aby w kałesonach i podkoszulku dobiec do lodowatego munduru, wydawała się do tego stopnia nieprzyjemna, że postanowił poczekać, aż Schlieebex wstanie i każe rozpaść w piecu. Gdy oczy przyzwyczały się do ciemności, ujrzał jodelkę, którą wczoraj postawili w kącie chaty i ustroili ozdobami z kolorowego papieru, łańcuchem z cynfolii, w którą Mama zawinęła przysłane na święta kiełbasy z barana i boczek.

Właśnie – święta! Dzisiaj Wigilia. Dlatego ciągle jeszcze leży w łóżku zamiast od godziny być na nogach. A jednak na myśl o Wigilii Frycek posmutniał. Pierwsze Boże Narodzenie bez rodziców. Bez bracika, siostry, bez starzika i starki, nie zobaczy ujka Rudolfa, który mieszka w Berlinie i zawsze przywoził swojemu chrześniakowi piękne prezenty.

Jeszcze rok temu nie myślał o wojsku, kiedy siedział z rodzicami przy wieczerzy. Konopiotka, wigilijna kapusta, makówki i moczka, której nie znosił. Potem prezenty, ujek Rudolf przywiózł mu wiatrówkę, „lufbiksa”, jak mówią na tę broń – zabawkę na Śląsku. Mama była zła, bo przecież wojna i nie dość, że są inne, ważniejsze potrzeby, to jeszcze karabin pod choinką – to zły znak – a co będzie, jak go od wojska nie wyreklamują? Frycek za nic miał babskie żale i przed pasterką w tajemnicy poszli z ujkiem i tatą postrzelać z okna do widocznego w wąłym świetle latarni pniaka.

Dzisiaj wiatrówka leży sobie spokojnie zawinięta w naolejoną szmatę na *sranku* w sypialni rodziców. Zabronił młodszemu bratu dotykać, chyba że przy ojcu. Kiedy Frycka zmobilizowali, mama wpadła w histerię i na widok wszystkiego, co jej się kojarzyło z wojskiem, zaczynała szlochać. Tata schował nawet swoje mundurowe spodnie i bluzę, które zakładał, schodząc do warsztaciku w piwnicy.

Jakże to wszystko było dawno! Miał wrażenie, że mieszka tutaj w tej chacie od zawsze. *Feldfebel* Schlieebex nie dawał zapomnieć, jakie Frycek ma szczęście. „Słuchaj, Muszol, ja swoje odsłużyłem przez cztery lata w okopach pierwszej wojny”. Schlieebex nie potrafił dobrze wymówić nazwiska „Musioł”, zresztą w *Soldbuchu* chłopiec miał wpisane „Muscholl”. Zaczynając swoją tyradę, którą Frycek znał na pamięć, podoficer dźgał się wskazującym palcem w zawieszony na lewej kieszeni bluzy Żelazny Krzyż, który dostał za jakiś bohaterski czyn podczas wojny okopowej. „Ale ty to masz szczęście. Twoi rówieśnicy mrą jak muchy w Rosji, a ty sobie siedzisz tutaj jak u Pana Boga za piecem. Ciepło jest, masz co jeść, nikt do ciebie nie strzela. Ech, raz zobaczyłbyś z bliska prawdziwą nawałnicę żelaza, Muszol, to byś się tak ze strachu posrał, że gównem by ci się dopiero w butach zatrzymało” – perorował Schlieebex. Miał rację. Gdy Frycka powołano, matka zanosila się płaczem. Nic dziwnego – młodych Ślązaków wysyłano najczęściej na front wschodni. Z klasy Frycka trzech już nie żyło, los jednego był

nieznany, a sześcioro było się na stepach Ukrainy, Środkowej Rosji, pod Leningradem. Jednak Frycek miał chrzestnego. Gdy tylko dostał kartę mobilizacyjną, ojciec wysłał telegram do brata. Ujek przyjechał w ciągu kilku dni, zamknął się z ojcem w kuchni i rozmawiali długo. Poborowy razem z matką podsłuchiwali pod drzwiami, jednak bracia rozmawiali bardzo cicho. Rudolf był kimś znacznym w NSDAP, pracował w ministerstwie. Rano matka była o wiele spokojniejsza.

Dopiero kiedy Frycek wrócił do domu po pierwszym obozie szkoleniowym, mama się wygadała, że już jest załatwione – jedzie do Norwegii. Na obozie liznął smaku wojaczki i był niepokojony – chciał się bić! Marzył o przeniesieniu do pancerniaków, widział siebie jako nieustraszonego dowódcę czołgu z Krzyżem Rycerskim. Tymczasem w Norwegii nie dostanie nawet odznaki szturmowej. Przecież tam się nic nie dzieje! Miał pretensje do rodziców. Przez nich nie zostanie bohaterem. Jednak razem z nim na przepustkę przyjechało z frontu wschodniego dwóch kolegów z klasy. Karlik, ten piękny, wysportowany, odważny Karlik... Spotkali się pod kościołem. Karlik nosił przypiętą do munduru wstążkę orderu, jednak Fryc nie patrzył na odznaczenia. Patrzył na okaleczoną twarz kolegi, za którym kiedyś oglądała się każda dziewczyna – Karlik nie miał nosa, a całą twarz pokrywały blizny po odmrożeniach. Alojz, przyjaciel z ławki, nie powiedział do Frycka ani słowa. Stali przed kościołem. Lojzik chwycił kolegę za guzik mundurowej bluzy, pokręcił tylko głową, odwrócił się i odszedł. Alojz, najbliższy przyjaciel, z którym dzieliło się kiedyś wszystkie tajemnice! Od tego czasu Fryc już bez żalu myślał o służbowym przydziale.

Trafił na dobrego dowódcę. *Feldfebel* Hoimar Schlieebex, weteran pierwszej wojny światowej, w cywilu aptekarz, był sprawiedliwy i serdeczny. Jego aparycja doskonale odpowiadała temperamentowi: był niski, pulchny i brzuchaty. Czerwone policzki, perkaty nos, ciemne oczy i płowa, przeredzona przez czas fryzura dopełniały obrazu saskiego mieszczucha. Jak mówił, pamiętał siebie z 1914 roku, kiedy jako osiemnastoletni gówniarz trafił na front. Był zagubiony i przestraszony. Jednak zaopiekował się nim dobry człowiek, więc teraz zwraca swój dług. Dowodził trzema szeregowcami i kapralem radiotelegrafistą. Razem stanowili załogę nieistotnej strategicznie stacji meteorologicznej niedaleko Kautokeino, na samej północy Norwegii, za kołem podbiegunowym. Na święta dwóch szeregowców dostało dwutygodniowe przepustki do domu, kapral na dwa dni do Tromsø, i w drewnianej chacie zostali tylko we dwóch.

– Fritz... – głos dowódcy przerwał chłopcu rozmyślenia.

– No? – odpowiedział Frycek niezbyt regulaminowo.

– Ja ci dam „no”, huncwocie. Wyciągaj dupę z łóżka i rozpal w piecu, darmozjadzie jeden – wymruczał podoficer, dokładniej okrywając się kożuchem.

Fryc westchnął, odrzucił koce i szybko dobiegł do krzesła, na którym wczoraj wieczorem powiesił mundur. Nie był wysoki, jak większość śląskich mężczyzn, ale praca fizyczna

ukształtowała mu ładną figurę. Miał szerokie barki, silną klatkę piersiową i wąskie biodra. Tylko nogi wydawały się nieproporcjonalnie szczupłe. Ubrał się szybko, zapalił lampę naftową, spojrzął pod piec i zaklął. *Donnerwetter*. Drewno się skończyło, trzeba założyć płaszcz i wyjść na mróz, klinami i młotem rozbić kilka kłoców, siekierą porąbać trochę sosnowych szczap na rozpałkę. Westchnął raz jeszcze, ubrał się i wyszedł na dwór – tam noc polarna, słońce i tak nie wstanie, a po ciemku nie będzie rąbał drewna. Wbrew regulaminowi uruchomił więc dieslowski agregat prądotwórczy, zapalił elektryczną lampę na tyłach chaty i zabrał się do roboty. Wytaczał spod zadaszenia przetrzynięty piłą kloc drewna, ustawiał na równym miejscu, przykładał klin, lekko pobijał młotem – w domu na taki mówiło się pyrlik – i gdy klin zagłębił się w drewno na tyle, że nie przechylał się pod własnym ciężarem, Frycek cofał się, brał młotem zamach zza głowy i walił w klin z całych sił. Najczęściej jeden cios wystarczył, by kloc pękł z trzaskiem, ale uderzać trzeba było umieć. Nie wystarczyła sama siła. Dietlef, hamburczyk wielki jak góra, który teraz pojechał do domu na święta, mimo że był od młodego Ślązaka silniejszy, z rąbaniem radził sobie o wiele gorzej. Nie wiedział, że trzeba dobrze zgrać zamach, krok, ugięcie nóg w kolanach, pochylenie tułowia. Wreszcie nie wiedział, że ręce muszą być luźne, aby młot spadał swobodnie. Frycek jako mały chłopiec nauczył się rąbać drewno i operować młotem i siekierą, więc teraz szybko rozwalał kloc za kłocem. Kiedy rozbił kilka, odłożył młot i kliny i siekierą zaczął rozdrabniać drewno na zgrabne polana. Mimo że termometr wskazywał osiemnaście stopni poniżej zera, chłopiec po paru kwadransach pracy rozgrzał się, zdjął płaszcz, pozostając w szaliku i pulowerze założonym na bluzę. Pomyślał sobie, że tak jak frontowi żołnierze za walkę wręcz dostają srebrną odznakę z karabinem w dębowym wieńcu, czołgiści z czołgiem, lotnicy z samolotem, i tak dalej, tak on mógłby dostać „Odznakę drwała” z siekierą.

Mógłby coś przypiąć do munduru, rąbanie drewna to główne zajęcie. Karabin wisi na kołku w chacie i – jak jest tutaj już ósmy miesiąc – potrzebny był raz, kiedy jacyś bandyci ostrzelali z daleka ich posterunek. Fryc porwał wtedy karabin ze ściany i strzelił kilka razy przez okno w nieokreślonym kierunku, podobnie zrobili wszyscy towarzysze. I na tym walka się skończyła. Partyzanci uciekli, nikt nie został nawet ranny.

I tak płynął mu czas – na rozmowach z kolegami, rąbaniu drewna, przygotowywaniu posiłków. Ostatnio radiotelegrafista, *Gefreiter* Knoblauch, z nudów zaczął uczyć Frycka obsługi radia, co urozmaicało codzienną rutynę. Wcześniej chodzili jeszcze do lasu i próbowali polować. Raz zdołali zastrzelić niewielkiego dzika, ale potem z góry przyszedł rozkaz, żeby z uwagi na aktywność partyzancką nie opuszczać bez powodu kwater, więc i to się skończyło.

Przeplatając te rozważania myślami o śniadaniu, bo już burczało mu w brzuchu, porąbał w końcu dość drewna, zapakował wszystko do wielkiego kosza i zarzucił go sobie na plecy. Kiedy ruszył do drzwi, trzydzieści metrów od chaty na granicy kręgu sztucznego światła zauważył ludzką sylwetkę. Człowiek był niski, przygarbiony i miał charakterystyczne wysokie

nakrycie głowy – Lapończyk. I tak nikt inny nie zapuszczał się w to odludzie. Do najbliższej wioski było pięć godzin marszu piechotą. Zimą raz na tydzień przyjeżdżały do ich bazy konne sanie z zaopatrzeniem. Lapońscy myśliwi czasem pukali do drzwi chaty. Frycek nie był pewien, czy odróżniają ich od norweskich żołnierzy, którzy wcześniej pełnili tutaj służbę. Lapończycy zdawali się nie dostrzegać faktu, że trwa wojna, nie wszyscy mówili po norwesku, którym całkiem znośnie władał *Feldfebel*.

Pukali do drzwi i w zamian za wódkę albo naboje oferowali mięso i skóry (co było, oczywiście, nielegalne i czego Schlieebex wyrozumiale nie dostrzegał). Fryc ucieszył się – może ten będzie miał królika albo ryby i wyhandlowałby coś dobrego. Odstawił kosz i zachęcająco pomachał ręką do przybysza. Ten jednak nie reagował. Chłopiec wzruszył ramionami i wszedł do domu. Jeżeli tubylec zechce, to sam przyjdzie. W izbie podoficer spał jeszcze. Frycek rozpalił w piecu, napełnił wodą ciężki, okopcony imbryk. Zgodnie z tradycją Wigilia to dzień postu – Schlieebex był protestantem, pewnie postów nie przestrzegał, więc chłopiec postanowił zjeść śniadanie, zanim dowódca wstanie. Ukroił pajdę chleba, wyciągnął z beczułki płat solonego śledzia. Gdy woda na piecu zawrzała, zaparzył kawę. Zapach napoju dotarł wreszcie do nozdrzy Saksończyka. *Feldfebel* usiadł w łóżku, przejechał ręką po karku i sprężycie wyskoczył z pościeli. Sypiał w śmiesznie cywilnej, długiej koszuli nocnej. Mimo że izba jeszcze nie wypełniła się ciepłem, nie wkładał munduru. Zacerpnął lodowatej wody z miednicy i prychając, przemył twarz i kark, a następnie przystąpił do gimnastyki. Po dziesięciu minutach skłonów, przysiadów i pompek, którym towarzyszyło głośnie stękanie i wzdychanie, ubrał się i siadł przy stole.

– No cóż tam, Fritzi, narąbałeś dość drewna? Dzisiaj Wigilia, musi być ciepło w domu...

– Tak jest – odpowiedział chłopiec. – Widziałem jakiegoś Lapa, ale nie podchodził bliżej.

– Aha. Dobrze. Ukrój mi chleba, synku. Ja zobaczę, co to za jeden. Aha, i kawy nalej. Jest dość mocna?

– Mocna, mocna, *Feldfebel*. Tylko płaszcz załóżcie. Zimno na dworze jak w psiarni.

Schlieebex skinął głową, założył kożuch i otworzył drzwi – i stanął twarzą w twarz z Lapończykiem. Tubylec był stary. Nosił tradycyjny lapoński strój haftowany czerwoną i zieloną nicią. Wysoka czapka dodawała mu wzrostu, ręce w reniferowych rękawicach splótł na piersi i stał tak, jakby czegoś oczekiwał. Saksończyk trochę się przestraszył, ale zaraz odzyskał rezon i zapytał po norwesku:

– No, czego chcesz?

Lapończyk nie odpowiedział, stał dalej bez słowa. Niemiec powtórzył pytanie, bez efektu.

– Rozumiesz po norwesku?

Nic. *Feldfebel* podrapał się po łysinie, następnie wskazał palcem na stojącą na półce butelkę z wódką i wykonał gest, jakby wlewał gorzałkę do gardła. Potem pokazał palcem na sanie i swój

kożuch. Lapończyk nie zareagował.

– To chyba wariat jakiś... – powiedział podoficer, odwracając się do Frycka. – I cóż ja mam z nim zrobić?

– Nie wiem, ale zamknijcie drzwi, *Feldfebel*, bo tu się nigdy ciepło nie robi.

– No, racja. Dobrze, w końcu Wigilia jest, może nawet Laponiec ludzkim językiem przemówi. Wyjdę na dwór i spróbuję się z nim dogadać, ale weźże karabin i patrz na niego przez okno. Bóg raczy wiedzieć, co dzikusowi przyjdzie do głowy, nie chciałbym sam na sam z wariatem zostać.

Ślązak skinął głową. Gdy dowódca wyszedł, zamykając za sobą drzwi, Fritz zdjął mauzera ze ściany, przeładował, odbezpieczył i stanął przy oknie. Obserwował, jak *Feldfebel* stara się nawiązać z Lapończykiem kontakt. Ten jednak stał w bezruchu. Frycek był pewien, że nie będzie musiał użyć broni. Stał więc rozluźniony i z rozbawieniem obserwował Schlieebexa, który czymś, co przypominało pantomimę, usiłował porozumieć się z tubylcem. Lap kojarzył się chłopcu z indiańskimi wodzami z książek Karola Maya. Saksończyk chyba sam się dobrze bawił, bo odwrócił się do myśliwego tyłem i zaczął udawać jelenia, kuśtykając na trzech kończynach, podczas gdy wolną dłoń rozcapierzył nad głową, aby udawała poroże. I wtedy Lapończyk nagle zadziwiająco szybko pochylił się do swoich sań i wyjął dubeltówkę.

Adrenalina uderza do głowy w mgnieniu oka, zwalniając cały świat. Tak wiele mamy wtedy czasu na myślenie... Frycek podrzuca karabin do ramienia i gdy kolba przemierza ogromną przestrzeń między biodrem a obojczykiem, już wie, że nie zdąży. Patrzy, jak dwie lufy myśliwego powoli kierują się w stronę Schlieebexa.

Ale strzał ciągle nie pada. Kolba już przy policzku, tak bardzo nagle drżą ręce, oko, szczerbinka, muszka, kurczowo ściąga spust, zwielokrotniony przez ściany huk wystrzału ogłusza, cały świat milknie w przeciągłym, wiercącym dzwonieniu w uszach. Lapończyk powoli osuwa się na ziemię, na czerwonym kabacie nie widać krwi, Schlieebex przewraca się, wstaje, potyka się, podnosi znowu, biegnie do drzwi, Frycek tkwi cały czas z karabinem przy ramieniu, oszołomiony patrzy na ciało na śniegu, jednak najwyraźniej widzi maleńką dziurkę w okiennej szybie. Natarczywie nasuwają mu się pytania: dlaczego się nie stłukła?, dlaczego pocisk zamiast wybić całą szybę wywiercił tylko dziurkę?

Schlieebex wpadł do izby, nie wiedząc ciągle, co się stało, chwycił pistolet maszynowy. Widząc, że chłopiec nadal stoi przy oknie i celuje z karabinu, dopadł go w dwóch skokach, krzycząc „kryj się!”, ściągnął na ziemię.

– Co się stało? – zapytał.

– On... Wyciągnął z sanek flintę... Chciał was zastrzelić, *Feldfebel*...

– O, psiakrew. Widziałeś ich więcej? Był jeszcze ktoś oprócz tego wariata?

– Nie wiem, *Feldfebel* – wyjąkał przerażony Frycek.

Schlieebex zaklął jeszcze raz pod nosem i na czworakach szybko dopadł skrzyni, w której trzymali ekwipunek. Nałożył na głowę hełm, do kieszeni wrzucił dwa magazynki i pospiesznie wrócił do okna. Nie wypuszczając peemu z dłoni, wyrzwał na sekundę, zlustrował przedpole i schował się natychmiast.

– Nikogo. *Donnerwetter*.

Dalej na czworakach przebiegł do drugiego okna i znowu wyrzwał. Nie zauważywszy nikogo, podpełzł do drzwi i zasunął skobel.

– Pewnie czekają, aż wyjdę, dupki. Frycek, opamiętaj się, iluś ich widział? – zapytał, siedząc przy framudze.

Chłopiec zaczynał orientować się w całej sytuacji. Ilu widział?

– *Feldfebel*, melduję, że nikogo nie widziałem. Ten Lap wyciągnął flintę, to strzeliłem.

Stary podoficer pomyślał chwilę, po czym zdecydował. Z bronią przy ramieniu pchnął lekko drzwi, te uchyliły się. Przez szparę Schlieebex widział leżącego w śniegu Lapończyka.

– Rusza się, psiakrew... Gównno, wychodzimy.

Wstał i wyszedł przekonany, że ewentualni współnicy myśliwego musieliby już jakoś dać znać o swoim istnieniu. Nikogo nie było, tylko postrzelony Lapończyk na śniegu. Leżał na brzuchu, na haftowanym czerwona nicią kaftanie plama krwi była ledwie widoczna. Kula z Fryckowego karabinu uderzyła go w kręgosłup, między łopatkami. Żył i ciągle miał nadzieję – próbował uciec. Rękami niezdarnie zgarniał śnieg, jakby chciał zaczepić o coś zgrabiając dłoń, wbić w coś palce jak pazury – potem już postronkowate mięśnie pociągnęłyby chude ciało i odsunąłby się od tego, który strzelił mu w plecy. Podoficer zbliżył się do leżącego ostrożnie, trzymając go na muszce, odkopnął powiazaną drutem dubeltówkę poza zasięg rozpaczliwie teraz grabiących śnieg dłoni i butem przewrócił Lapończyka na plecy. Frycek odłożył karabin i wyszedł z chaty. Podniósł ze śniegu strzelbę, chwilę szukał dźwigni, którą trzeba pociągnąć, by otworzyć broń, znalazł, nacisnął, otworzył i zamarł.

– Dziwny jakiś ten myśliwy – stwierdził Schlieebex, przypatrując się postrzelonemu z zainteresowaniem. Nie otrzymał odpowiedzi, zmarszczył brwi i odwrócił się do chłopca – ten z otwartymi ustami wpatrywał się w lufy dubeltówki. Były puste, nie było w nich naboju.

– Ta strzelba nie była załadowana. On chciał pokazać, że chce kupić naboje. Dlatego wyciągnął broń. – wyrzucił z siebie Frycek i łzy spływały mu po policzkach.

Feldfebel przypomniał sobie błotnisty lej w Belgii, na dnie którego leżał zwinięty w kłębek, obejmując rękami głowę w pikielhaubie. Jednak nie chronił się tam przed artyleryjską nawałą, która skończyła się kwadrans wcześniej. Chciał osłonić siebie przed tym, co stało się przed chwilą. Obok leżał Francuz, w jego tłustym gardle tkwił bagnet. Francuz nie miał hełmu, był krępy, łysy i niechlujnie ogolony. Głowę otaczało sadło spięte ciasnym kołnierzem, tworzyło na karku cztery fałdy pokryte siwą szczecina. Francuz wyglądał jak ojciec strzelca Schlieebexa i był

pierwszym człowiekiem, którego strzelec Schlieebex zabił własnoręcznie. Wskoczył do leju, chowając się przed ogniem artyleryjskim, i nie zauważył młodego Niemca. Było ciemno, a mundur strzelca Schlieebexa pokrywała gruba warstwa rudego błota. Kiedy więc Francuz przytulił się do ściany leja, strzelec Schlieebex wyciągnął z pochwy bagnet i wbił go w gardło wroga, spełniając swój żołnierski obowiązek.

Dlatego wiedział, że nie może pomóc chłopcu znieść brzemienia tego czynu. Cierpienie jest szczelne, nie można dotknąć go z zewnątrz. Nie widzimy ani nie czujemy cierpienia innych, widzimy tylko objawy bólu. Próbując pomóc, przypominamy lekarza, który leczyłby gruźlicę, podając syrop na kaszel.

Lapończyk jęknął. Fryc nagle oprzytomniał i rzucił się do rannego. Zaczął rozsznurowywać mu kaftan, jakby rozluźnienie ubrania mogło pomóc na kręgosłup zgruchotany pociskiem. Stary myśliwy nagle obiema rękami chwycił chłopca za bluzę. Cienkie palce o zgrubiałych stawach powoli zacisnęły się na szarym materiale jak szpony, rękawy kurty zsunęły się, odsłaniając nadgarstki – na obu wytatuowany był skomplikowany ornament jak bransoleta oplatający starczą, luźną skórę. Schlieebex stał obok z palcem na spuście, ale nie reagował. Młody żołnierz nie chciał wyzwać się siłą, a starzec swymi zadziwiająco silnymi rękami przyciągał chłopca do siebie. Wpatrywał się intensywnie w oczy Frycka, otworzył usta, odsłaniając bezzębne dziąsła, i zaczął śpiewać. Młody Ślązak nigdy nie słyszał takiego śpiewu. Z gardła Lapończyka wydobywał się niski, wibrujący, modulowany dźwięk, przerażający i pierwotny. Myśliwy puścił mundur chłopca, lecz ten ciągle trwał pochylony, jakby dalej ciągnęły go niewidzialne już dłonie. Lapończyk podniósł prawą dłoń – palce ułożył tak, jak Chrystus na obrazach układa swoje, prezentując rany po gwoździach: wskazujący i środkowy wyprostowane, a pozostałe podkurczone, lecz niezasłaniające środka dłoni. Myśliwy szybkim ruchem dotknął czoła, ust i piersi chłopca, przerywając jednocześnie śpiew. Powiedział cztery krótkie słowa, zabrzmiały śpiewnie i egzotycznie. Po chwili milczenia Schlieebex stwierdził, że w końcu trzeba przerwać te gusła.

– Frycek, chłopie, musimy go zabrać do domu – powiedział.

Chłopiec milczał, więc Schlieebex podszedł i potrząsnął nim mocno.

– Fryc! Bierzemy go do domu! Bo tu zamarzniesz!

– On nie żyje – odpowiedział głucho chłopiec.

* * *

Trzy godziny później zmęczeni Schlieebex i Fryc siedzieli w izbie przy stole, ogrzewając dłonie o blaszane kubki z gorącą kawą, zaś ciało Lapończyka szybko zamarzało w płytkim grobie. Żołnierze, używając kilofów i łopat, zdołali wykuć w ziemi mogiłę głęboką na

kilkadziesiąt centymetrów. Obok ciała położyli strzelbę i cały ekwipunek łowcy, po czym przykryli wszystko czterema głazami. Na saniach nie znaleźli skór ani mięsa ubitych zwierząt, tylko skórzane woreczki z ziołami, grzechotkę i kilka pokrytych znakami kręgów szyjnych renifera. Gdy skończyli, niebo rozjaśniło się jak na pół godziny przed świtem i zamiast ciemności zapanowała szarość. Zza horyzontu słońce nie wyjdzie wcale.

Podoficer czuł, że słowa wyjaśnienia i pocieszenia są jedynym narzędziem, jakim może pomóc chłopcu. Zaczął, gdy tylko zabrali się do kopania. Mówił jak człowiek, który ceni słowa, bo nie wypowiada ich zbyt wiele. Nie zalewał chłopca potokiem erudycji, nie brylował, nie upajał się dźwiękiem własnego głosu. Stawiał długie pauzy między wyrazami i jeszcze dłuższe między zdaniami, jakby układał sobie w głowie każdą frazę, zanim ją wypowie. Mówił najpierw o przyczynach, potem o tym, że naciskając spust, chronił dowódcę, o tym, że na wojnie nie można zakładać, że potencjalny wróg ma broń niezaładowaną, potem o przypadku, potem o odpowiedzialności. Frycek słuchał, nie przerywając. Był inteligentnym chłopcem i rozumiał wszystkie argumenty swojego dowódcy, ale nie potrafił się z nimi zgodzić. Wciąż słyszał niezrozumiałe ostatnie słowa Lapończyka. Gdyby mógł mu wytłumaczyć! Prosić o przebaczenie! Wyłożyć, że musiał strzelić! Zamiast tego miał świadomość, że myśliwy umierał przekonany, że spogląda w oczy podstępного mordercy.

Jednak, bez wątpienia, słowa dowódcy pomogły. Fryc czuł się paskudnie, ale wysiłek fizyczny wyrwał go z odrętwienia, w jakie wprawiły go hipnotyczne słowa i świdrujące, czarne oczka Lapończyka. Schlieebex specjalnie zaprzągnął go do świątecznej krzątaniny, by nie dać mu zbyt wiele czasu na myślenie. I gdy tylko rozgrzali się kawą, nakazał Fryckowi ponownie wyszorować drewnianą podłogę, nie omijając żadnego kąta, przewietrzyć pościel, wyczyścić piec, popiołem posypać schody i drózkę do urządzeń meteo, nanieść nowego, ładnego drewna – śmiejąc się w duchu, kazał wybierać równe polana, wyłącznie brzoźowe, aby „przynajmniej na święta to porządnie wyglądało”.

Gdy chłopiec skończył, na dworze panowały ciemności. Należało uruchomić znowu agregat, spisać dane meteo i przez radio przekazać je do centrali. Frycek założył kozuch i z kartką i ołówkiem wyszedł na dwór. Diesel nie chciał odpalić – chłopiec spojrział na termometr, dwadzieścia osiem poniżej zera. Trudno. Naniósł sosnowych szczap, odgarnął śnieg spod maszyny, zmiął stary numer „Völkischer Beobachter” i pod silnikiem urządzenia rozpałił małe ognisko. Chętnie schowałby się na kwadrans do chaty, uciekając od mrozu, ale wiedział, że Schlieebex wściekłyby się, gdyby zobaczył, że zostawił ogień pod agregatem. Czekał więc, podskakując i machając rękami, aby trochę się ogrzać. W końcu dotknął dłonią silnika – był już ciepły. Zaskoczył od razu, wyrzucił chmurę dymu i po chwili pykał już miarowo. Elektryczna lampa nad stacją przez chwilę żarzyła się niemrawo, a kiedy Fritz zwiększył obroty silnika, rozbłysnęła jasnym światłem. Spisał dane ze stacji – temperatura, ciśnienie, wilgotność; zmierzył

grubość pokrywy śnieżnej, chociaż od dawna nie padało, i wrócił do chaty. Podał Schlieebexowi kartkę. Podoficer, jak zwykle kręcąc nosem, że młody bazgrze jak kura pazurem, pięknym, uroczystym pismem przeniósł dane do księgi, po czym uruchomił radio, nowoczesny, czterolampowy nadajnik „Telefunken”. Przekazał komunikat, wymienił parę świątecznych grzeczności i wyłączył radio. Frycek wstał ociężale – do jego obowiązków należało wyłączenie generatora po zakończonej transmisji, jednak podoficer wstrzymał go.

– Zostaw, niech działa. Dzisiaj Wigilia, posłuchamy audycji w „Deutsche Welle”.

Frycek usiadł znowu do stołu. Nie czuł się najlepiej. W skroniach tętnił puls i piekły go oczy. Schlieebex zauważył, że chłopiec jest rozpalony. Położył mu rękę na czole.

– Doskonale, brakowało tylko gorączki. Wskakuj do wyra. Tę Wigilię spędzisz, biedaczku, w pościeli.

Fryc posłusznie zrzucił mundur i położył się do łóżka. Próbował zasnąć – ale gdy tylko zamykał oczy, widział twarz umierającego Lapończyka. Czuwał więc, grzejąc się pod pierzyną. Saksończyk tymczasem za – parzył herbatę, zastanowił się chwilę i wyciągnąwszy z szafki butelkę, wlał do obu kubków po kieliszku sznapsa. Podał chłopcu gorące naczynie, spojrzał na zegarek – już osiemnasta, już czas. Mieli piękny odbiornik „Siemensa”, z zielonym okiem w eleganckiej obudowie z orzechowego drewna. Schlieebex przekręcił gałkę i delikatnie kręcąc nią w lewo i prawo, z szumów i trzasków wyłowił znany głos spikera „Deutsche Welle”. Wigilijna audycja była chyba najbardziej wzruszająca ze wszystkich programów w ciągu roku. Schlieebex nie przyznałby się do tego nikomu, ale żadne przemówienie *Führera* nie wywołało w nim nigdy takiego przyływu patriotyzmu i miłości do Niemiec, jak wspólne śpiewanie „Stille Nacht”, razem, wszędzie tam, gdzie byli niemieccy żołnierze. Myślał wtedy o swoich *Kameraden* walczących na wszystkich frontach tej całej wojny, od skutych lodem rosyjskich pustkowi, przez piaski afrykańskich pustyń, ciche głębiny Atlantyku, niebo nad Anglią, po ich zapomnianą przez świat izbę w norweskiej chacie. Co do młodego Ślązaka, to w ogóle miał wątpliwości, czy chłopiec czuje się Niemcem. W śląskim *Wasserpölnisch* mówi na pewno lepiej niż po niemiecku. Był przekonany, że sprawy narodowej tożsamości w ogóle Frycka nie obchodzą. Spojrzał na chłopca, który pograżał się tymczasem w apatii. Nie zasypiając, gapił się w sufit.

Rozpoczęła się audycja. Najpierw spiker wygłosił krótką pogadankę o historii niemieckich obyczajów świątecznych. Następnie – standardowy komunikat o sytuacji na wszystkich frontach. *Ja, ja, natürlich*, pomyślał Schlieebex. W zeszłym roku ogłaszali przez radio zwycięstwo Niemiec, w tym przekonują, że nie możemy oddać zwycięstwa, za rok będzie, że musimy zwyciężyć, za dwa, że nie możemy ponieść klęski, a za trzy... Ech, Bóg raczy wiedzieć. W końcu spiker zapowiedział, że rozpoczyna się właśnie tradycyjne doroczne śpiewanie „Stille Nacht” przez żołnierzy na wszystkich frontach. „Pierwsza zwrotka odśpiewana zostanie przez żołnierzy

naszych wojsk okupacyjnych w Paryżu. Paryż, czy mnie słyszycie?”. W głośniku rozległy się trzaski, ucichły nagle i przemówił łagodny głos z wyczuwalnym berlińskim akcentem. „Cisza, ludzie. Jesteśmy na antenie”. W tle ledwie słyszalny śmiech, dźwięk sztuców stukających o naczynia, trącanie się kieliszkami. Wreszcie po chwili głośnik wypełniła pierwsza zwrotka kolędy, wyśpiewana rozbawionymi, fałszującymi głosami...

*Stille Nacht! Heilige Nacht!
Alles schläft; einsam wacht
Nur das traute hoch heilige Paar.
Holder Knab' im lockigten Haar,
Schlafe in himmlischer Ruh!*

Frycek nagle wygiął się w pałąk, jakby puszczono przez niego prąd o wysokim napięciu, charcząc przerażająco. Schlieebex doskoczył do chłopca, lecz zanim zdążył położyć na nim dłonie, młody Ślązak bezwładnie spoczął w pościeli bez przytomności.

* * *

W Paryżu o osiemnastej było już ciemno. Padał lekki śnieg szarpany dojmującym, lodowatym wiatrem. Na *rue* imienia Dumont de Urville, żeglarza, który opłynął cały świat, a zginął w jednej z pierwszych katastrof kolejowych, śnieg pokrywał szyby zaparkowanych w rzędzie służbowych mercedesów i adlerów. Wzdłuż neobarokowej fasady hotelu „Majestic”, siedziby sztabu niemieckich wojsk okupacyjnych we Francji, szło trzech młodych żołnierzy. Z uwagi na sąsiedztwo tak poważnej instytucji starali się zachowywać przyzwoicie. Wartownik przy wejściu uśmiechnął się do siebie – nad wyraz dokładny, spokojny i równy krok zdradzał, że chłopcy zdążyli już sobie podpić i teraz całą siłę woli germańskiego wojownika wyteżają, by nic nie było po nich widać.

Horst, Bruno i Fritz nieudolnie ukrywali nie tylko szmer wypitych dwóch butelek koniaku, ale prawie parskali od tłumionego śmiechu. Siedzieli na kwaterze u Bruna, gdy Frycek wymyślił zupełnie nowy sposób na spędzenie Wigilii – pójda do burdelu! Absurdalny pomysł od razu się chłopcom spodobał, zwłaszcza gdy Horst zaczął argumentować, że kiedy jak kiedy, ale w święta oficerowie do domu publicznego nie pójda, więc nie będzie tak jak zwykle, że dla żołnierzy zostaną tylko stare i brzydkie kurwy. Wezmą sobie najładniejsze dziewczęta, po butelce szampana, upiją się wesoło i pójda na górę... Kwadrans później maszerowali rażno po paryskim bruku, rycząc na całe gardło *Vor der Kaserne, Vor dem großen Tor, Stand eine Laterne, Und steht sie noch davor*, nie pamiętali dalszych zwrotek, więc bez końca powtarzali pierwszą,

zmieniając się i razem wykrzykując refren, *Wie einst Lili Marleeeeeeen*. Przycichli dopiero obok sztabu, minęli go i skręcili w przecznicę, gdzie wybuchnęli śmiechem. Szli dalej, zataczając się, niewinnie zaczepiając nielicznych przechodniów i strojąc sztubackie miny do szacownych paryżanek spoglądających z dezaprobatą zza firan. Wreszcie stanęli przed drzwiami, które niczym nie odróżniały się od innych. Jednak chłopcy znali je dobrze. Żaden z nich nie przyznał się, że nigdy jeszcze nie był w środku, nie przypuszczając, że koledzy mogą tak samo kłamać. Mieli więc wszyscy odważne i zadziorne miny bywalców i lwów salonowych. Bruno, najstarszy, nacisnął przycisk elektrycznego dzwonka, Horst wyjętym z tylnej kieszeni spodni grzebieniem przyczesał gęstą czuprynę, zaś Fritz dyskretnie ściągnął z palca ślubną obrączkę. Drzwi otwarła im burdelmama – ubrana z wyzywającą elegancją balansującą na granicy kiczu, zniszczona kobieta. Dla swojej profesji była wręcz archetypowa, chociaż chłopcy nie mogli tego wiedzieć, bo była pierwszą właścicielką takiego interesu, jaką widzieli, oraz nie wiedzieli, co to „archetyp”. Kobieta zmierzyła chłopców wzrokiem i otaksowała ich skromne, pozbawione odznaczeń mundury. Chłopcy liczyli, że w Wigilię z powodu niewielkiego popytu na tego rodzaju usługi skorzystają z dziewcząt normalnie przeznaczonych dla oficerów. Jednak *mademoiselle* Leroux była doświadczoną *businesswoman* i nie prowadziła działalności charytatywnej; magia świąt nie nastrajała jej poza tym zbyt przyjaźnie do świata. Chłopcy dostaną takie dziewczyny, na jakie ich stać.

– Ile chcą oni pieniądza wydać na dziewczyna? – zapytała łamaną niemczyzną, gdy wspięli się już po schodach.

Bruno i Horst spojrzeli na Frycka. On trzymał pieniądze – służyli razem na tyle długo, by stwierdzić, że gdy Fritz gospodaruje wspólnymi pieniędzmi, wychodzą na tym najlepiej. Ślząk, kiwając głową, wyjął z kieszeni portfel. Otworzył go z pietyzmem, odliczył reichsmarki i bez słowa podał plik burdelmamie. Ta szybko przeliczyła banknoty, oszacowała, że na oficerską zabawę żołnierzy nie stać, a na żołnierską dali jej trochę za dużo. Panna Leroux dbała o dobre imię firmy. Odliczyła więc połowę różnicy między ceną za trzy dziewczyny dla szeregowych a kwotą, jaką otrzymała, i oddała Fritzowi, resztę traktując jako napiwek. Chłopak ze zdziwieniem przyjął resztę. Gdy wkładał pieniądze do portfela, między palcami zaplatało mu się zdjęcie. Niewielki prostokąt cienkiego kartonu z ząbkowanym brzegiem i wyretuszowanymi cieniami. Na specjalnym tle z romantycznym greckim pejzażem stało metalowe, secesyjne krzesło. Fritz w galowym mundurze i jego żona w prostej, białej sukni z welonem i długimi rękawiczkami.

Żonaty był dopiero pół roku. Frida była dobrą i piękną dziewczyną i Fritz nie wątpił ani chwili, że ją kocha. Znali się długo, w zasadzie od dzieciństwa. Zareczyli się trzy dni po rozpoczęciu wojny z bolszewikami – dziewczyna miała nadzieję, że Fritz jako żonaty uniknie poboru. Ślub wzięli pół roku później, Frida była już wtedy w ciąży, ale na tyle krótko, że przed

ślubem wiedział o tym tylko *farorz*, który machnął ręką – *niy ma o czym godać*. Dziecko jeszcze się nie narodziło, ale chłopiec wiele o nim myślał. Frida pisała do męża codziennie, wydając fortunę na znaczki, a Fritz, nie mając ani lekkiego pióra, ani swobody w wyrażaniu uczuć, pisał raz w tygodniu. Jego listy były krótkie i rzeczowe, ale żonie, która dobrze go znała, wystarczały. Wiedziała, że gdy jej Frycek na zakończenie listu, w którym zdaje raport z tego, co się dzieje w Paryżu, pisze, że „ckni mu się za nią i chętnie by ją zobaczył”, to znaczy więcej niż płomienne wyznania mężów jej koleżanek, którzy w listach pisali, jak bardzo miłują, a na miejscu pewnie zadawali się z tymi rozpustnymi Francuzkami – a jej Frycek przecież nie był taki.

Mademoiselle Leroux schowała pieniądze do wypchanej gotówką torebki, otworzyła drzwi i wystudiowanym gestem zaprosiła żołnierzy do środka. W sali panował stosowny do rodzaju lokalu półmrok. Ściany pokryto czerwoną, pluszową tapiserią, w alkowach wisiały nieprzyzwoite obrazy w pozłacanych ramach, a za barem wysoki i chudy mężczyzna w fartuchu i z fryzurą na brylantynie niedbale wycierał szklanki. Przy kilku stolikach siedziały dziewczęta. Niektóre z gośćmi. Oprócz Fritza, Bruna i Horsta w lokalu było jeszcze dwóch Niemców w mundurach: zalany w trupa szeregowiec w mundurze Luftwaffe chrapał na stole, a gefrajter z piechoty emablował znudzoną prostytutkę, która udawała, że pozwala się uwodzić. Bruno natychmiast przysiadł się do rudej dziwki, która nie była pierwszej młodości, ale za to dysponowała bez wątpienia największym biustem w lokalu. Horst siadł przy najbliższym stoliku, bo siedząca przy nim kurwa pociągnęła go za rękaw, zaś Fritz przez chwilę rozglądał się po sali. W kącie siedziała mała brunetka, jak na tutejsze standardy skromnie odziana. Nie wykonywała żadnych zachęcających gestów.

Iluzje przekonują nas wtedy, gdy realizują nasze pragnienia, a Fritz, idąc do burdelu, chciał pójść do łóżka z dziewczyną, nie z dziwką, więc nie próbując dociec, jakim sposobem ten anioł niewinności mógł znaleźć się w takim miejscu, przysiadł się do stolika. Dziewczyna prawie nie mówiła po niemiecku, on znał po francusku tylko parę słów. Nie rozmawiali więc. Koledzy poszli już do pokojów, a Fritz z Francuzką siedzieli jeszcze nad dwoma kieliszkami koniaku. Dziewczyna znała spojrzenie chłopców, których peszyły przepastne dekolty, wypełnione pulchnymi pagórkami piersi, odsłonięte aż do bioder uda spowite w jedwab i koronki pończoch i podwiązek, rozchylone wargi zwilżane samym koniuszkiem języka. Dla tych, którym wszystkie te atrakcje, zleżałe jak dwutygodniowy pączek na wystawie, nie wydawały się szczególnie pociągające, była ona. Siedziała i całym arsenalem wyrachowanych niewinnych spojrzeń, rumieńców, dyskretnego uśmiechu przysłanianego wierzchem dłoni wyczarowywała iluzję, w którą nie można było, oczywiście, uwierzyć przez wzgląd na jej zawód i otoczenie, ale można było dać się przekonać. Fritz nie był głupcem, nie wierzył, ale pozwolił się zaczarować. Pomyślał tylko, że dziewczyna ma małe, sterczące piersi, zupełnie jak Frida, zanim zaszła w ciążę, po czym wstał, wziął swoją dziwkę za rękę i poszli do pokoju.

Gdy zaczęła się rozbierać, czar przysł. W końcu była tylko kurwą dla szeregowców. W oficerskiej części burdelu były czarodziejki, których czar niewinności trwał, nawet jeżeli właśnie wprawnie wprowadzały w najwyższe arkana rozkoszy dwóch mężczyzn naraz, nawet wtedy ich techniczne mistrzostwo nie przeszkadzało w tkaniu iluzji, że to wszystko po raz pierwszy. Brunetka Fritza nie była aż tak doświadczona, jej uroki działały tylko na dole przy stoliku. W pokoju stała się zimnym manekinem, którym w istocie jest każda płatna dziwka, chociaż najlepsze potrafią ukryć to pod warstwami pudru i aktorstwa. Z tych właśnie byłyby świetne gwiazdy filmowe. Francuzka wystudiowanym gestem pchnęła chłopca na łóżko, rozpięła żakiet i odwróciwszy się plecami, powoli zsunęła spódnicę. Nie lubiła mężczyzn i sądziła, że ci w zasadzie nienawidzą kobiet, że pociąga ich jedynie widok pośladków i piersi oraz kopulacja. Nie wiedziała, że tak naprawdę w domu publicznym wielu szuka nie rozładowania napięcia, bo to mogą załatwić sami w miejskim szalecie, lecz zapomnienia, ciepła, podziwu i powrotu do chwil odkrywania tajemnic. Póki nie zyska tej wiedzy, nie dostąpi wyższych stopni wtajemniczenia swojego zawodu. Fritz patrzył na nią z żalem. Już nie mógł dłużej udawać przed sobą, że dziewczyna jest niewinna i że zależy jej właśnie na nim. Przez chwilę pomyślał o Fridzie, poczuł wyrzut sumienia i rozważał nawet, czy nie uciec z pokoju. Potem wyobraził sobie swoich towarzyszy ryczących ze śmiechu, że Fritz uciekł na widok dziewczyny. Postarał się zatem nie myśleć więcej o żonie i skupił się na podziwianiu ładnych pośladków swojej dziwki.

Gdy później siedziała na nim okrakiem, opierając ręce na jego chudym torsie, a jej piersi podskakiwały rytmicznie, chłopiec oprócz profesjonalnie dostarczanej rozkoszy czuł głęboki smutek. Nawet dobrze opanowane westchnienia, jęki i wreszcie krzyki, które wydawała dziewczyna, nie mogły zatrzeć upiornego wrażenia, jakie wywarło jej puste spojrzenie wbite w ścianę gdzieś za nim. Fritz zrozumiał, że Francuzka jest teraz gdzieś bardzo daleko. Nie mógł wiedzieć, że mała Dominique siedzi teraz przed kamiennym domem w Prowansji, wdychając woń rozpalonego sierpniowym słońcem rozmarynu i bazylii, zaś jej ojciec, zabity w kampanii 1940 roku, wraca właśnie stromą ścieżką, niosąc dwie perliczki na obiad, który Dominique ugotuje.

Po wszystkim zsunęła się z Fritza i chciała bezwiednie wypowiedzieć zwykłą formułkę, że „było cudownie, jeszcze nigdy nie rznął mnie taki mężczyzna, mam nadzieję, że nie będę musiała długo czekać na twój powrót”, ale spojrzała w jego oczy i zrozumiała, że on również był daleko. Fritz z rozdartym sercem stał na progu wagonu całego przystrojonego kwiatami i patrzył w okoloną blond lokami twarz swojej Fridy. Po jej policzkach spływały wielkie łzy. Dłonie położyła na swoim okrągłym brzuchu, w którym nosiła ich dziecko. Rana w sercu Fritza była płytka i już wtedy na peronie miłość, zaufanie i łzy Fridy pokrywały ją delikatnym balsamem. Wtedy wiedział – wystarczy, że go nie zabiją, a przecież bycie żołnierzem w Paryżu jest

bezpieczniejsze niż praca na kopalni. Wystarczy, że wróci do swojej żony i dziecka, a łzy wyschną i po ranie w sercu nie zostanie nawet blizna. Teraz, po dwóch kwadransach z paryską prostytutką, serce Fritza było rozdarte na dwoje i nie ma innego balsamu na taką ranę niż czas. Jednak nawet to panaceum nie goi ran do końca. We wrażliwej tkance zawsze pozostanie blizna. Czasem ropiejąca.

Dziewczyna przykryła się kocem i czekała, aż klient wyjdzie. Fritz zapiął spodnie i szelki, nałożył kurtkę, spojrzął na swoją płatną kochankę i zrozumiał, co wypełnia jej duszę. Chciał pogłodzić ją po policzku, aby jakoś podzielić swój smutek, lecz gdy tylko wyciągnął rękę, cofnęła się jak dzikie zwierzę. Odwrócił się i wyszedł. Dziewczyna jak zwykle podmyła się, otarła łzy, nałożyła swój roboczy strój i zeszła do baru. Na korytarzu spotkała właścicielkę burdelu. Ta wiedziała – mała Dominique jest tutaj dopiero rok, tak szybko się nie przywyka, za jakiś czas jej przejdzie. Poklepała dziewczynę po plecach, mruczając swoje zwykłe *c'est la vie*, i poszła odprowadzić klientów. Chłopcy, przechwalając się, dopinali kurtki i zakładali płaszcze, Fritz śmiał się głośno i opisywał cycki i tyłek swojej kochanki, gdy Bruno wylewnie zachwycał się objętością wdzięków prostytutki, z którą – jak mówił – miał okoliczność.

Kiedy szli ulicą, aby zakończyć miły wieczór w jakiejś knajpie, Fritz, nie mogąc znieść ciężaru ślubnego zdjęcia w portfelu, mimochodem wyjął je, udając, że szuka po kieszeniach zapalek do fajki, zmiął w dłoni i gdy jego towarzysze wysforowali się nieco do przodu, wrzucił kartonik do kratki ściekowej. Później zalali się w trupa i zataczając się ulicami, ledwie trafili do koszar, zwalili się do łóżek, nie ściągając butów, i zachrapali ciężkim, pijanym snem.

* * *

Schlieebex próbował przytrzymać rzucającego się na posłaniu Fritza, z niejakim zażenowaniem patrząc na wypychającą spodnie chłopca erekcję. Po chwili młody Ślązak zwiotczał cały i opadł luźno na posłanie. *Feldfelbel* usiadł i zaczął się zastanawiać, czy nie należałoby wezwać lekarza. Zmierzył chłopcu temperaturę – czterdzieści stopni. Zrobił mu chłodny okład na czoło z mokrej ścierki i rozmyślał. Chłopak leżał dalej bezwładnie. W „Deutsche Welle”, gdy powoli cichły głosy paryskich żołnierzy, rozległ się miękki baryton spikera. „Dziękujemy przedstawicielom wojsk okupacyjnych w Paryżu. Spod wieży Eiffła przenosimy się na zaśnieżone stoki Arraratu, w Kaukaz, gdzie wśród dumnych góralskich plemion nasi dzielni żołnierze stają tam, gdzie nie powstała jeszcze stopa żadnego germańskiego wojownika w historii. Oddajemy głos naszym dzielnym żołnierzom, spadkobiercom Aleksandra Wielkiego, którzy stoją już u bram Azji”. Zamiast paryskiego zgiełku zapanowała pełna skupienia cisza, przerywana jedynie tłumionymi przez transmisję skrzypnięciami krzesel i dalekimi odgłosami kanonady. Ktoś cicho odliczył *eins, zwei, drei* i kilkanaście głosów

zaśpiewało:

*Stille Nacht! Heil'ge Nacht!
Die der Welt Heil gebracht,
Aus des Himmels goldenen Höhn,
Uns der Gnaden Fülle läßt sehn,
Jesum in Menschengestalt!*

* * *

Dupek. Łajdak. Gnida. Fritzowi nie mieściło się to w głowie. Jak ten łajdak mógł! I leży, skurwiel, na pryczy, jakby nic się nie stało, na plecach, a w wyciągniętej nad głową dłoni obraca swój nowy Krzyż Żelazny. Krzyż Żelazny! Pierwszej klasy! A Fritz nie dostał nic. Nawet pochwały.

A przecież Moritz nie był złym kolegą. Poznali się dwa lata temu, gdy przydzielono ich do tego samego plutonu w dniu inwazji na Rosję, ale jeszcze daleko za linią frontu, w Prusach Wschodnich. Zaczynali jako obsługa karabinu maszynowego. Moritz cały czas podpadał dowódcy, więc ten wyznaczył go na celowniczego – to najbardziej niebezpieczna funkcja w plutonie, „Strzelec jeden” rzadko żyje długo. Fritzowi zrobiło się żal małego i chudego Bawarczyka, więc zgłosił się na ładowniczego. Razem dawali sobie radę. Frycek miał wyczucie do personalnych gier i Moritz, stosując się do jego rad, wypadł po jakimś czasie z listy podpadniętych. Po pół roku obaj dosłużyli się *Gefreitera* i dalej byli w tym samym plutonie.

Fritz nie uważał się za nazistę. Dobrzy nazisci pewnie tylko się z tego cieszyli, w końcu Fritz miał ojca Polaka. Zniemczył sobie nazwisko na Schimansky, ale to nie mogło zmienić faktu, że ojciec nie tylko był Polakiem spod Krakowa, ale przyjechał na Śląsk w 1918 roku walczyć z Niemcami. Między jedną wojną domową a drugą poznał w Katowicach blondynkę, Gerdę Siegling, nowoczesną dziewczynę, która przed wojną mieszkała w Paryżu i tam przejęła trochę niefrasobliwego nastroju stolicy świata.

I tak Andrzej Szymański, bojownik o polskość Śląska, po zbiorce POW biegł do garsoniery, którą wynajął specjalnie do schadzek z Gerdą. Gdy wchodził do środka, ona leżała naga na pościeli. Andrzej szybko zrzucił ubranie i kochali się godzinami, śmiejąc się, gdy sąsiedzi z dołu nie mogli już znieść krzyków i hałasu, jakie wywoływało rozklekotane łóżko na sprężynach.

Kiedy leżeli potem nadzy, rozgrzani miłością i ciepłem bijącym od kaflowego pieca, Gerda robiła Andrzejowi wyrzuty, że na nocnym stoliku kładzie swój pistolet, a ona nie chce oglądać broni. Andrzej w końcu zaczął zostawiać broń w kieszeni płaszcza.

Świat, Śląsk, Polska, Niemcy, POW, *Selbstschutz*, wojna, zemsta, narody, Ententa,

prezydent USA Woodrow Wilson, włoscy i francuscy żołnierze, czołgi i gaz bojowy, okopy, Dmowski, Piłsudski, Korfanty, rewolucja, bolszewicy, Lenin, marszałek Petain, Francja, król angielski – wszystko zostawało zamknięte za drzwiami.

Tutaj była Gerda, której złote loki rozsypywały się po poduszce, a ona tak cudownie nie wstydziła się swojej nagości i wdzięcznie przyjmowała jego duże dłonie przesuwające się po jej pośladkach i plecach.

I w tym pokoju w jej gorącym ciele wstrząsanym jeszcze oddalającymi się spazmami rozkoszy począł się mały Fritz.

A cztery miesiące później wszystko to, co zostawiali zamknięte za drzwiami garsoniery, wdarło się do ich życia. Gerda powiedziała Andrzejowi przy kawiarnianym stoliku: „jestem w ciąży”. Andrzej poprosił ją o rękę. Potem zastanawiał się, dlaczego on, polski nacjonalista, zakochał się w Niemce.

W czasie przygotowań do skromnego ślubu postawił jeden warunek – dzieci wychowają na Polaków. Gerda zgodziła się wzruszeniem ramion. Narody nie miały dla niej znaczenia. I tak młody Fryderyk (imię po dziadku Andrzeja) wychowywał się na Polaka.

Andrzej ciągle był spóźniony i w końcu wrócił do domu zbyt późno. Był zgorzkniały, pijany i rozgoryczony, bo zamiast Polski miał tylko Katowice. Idea, dla której piętnaście lat wcześniej gotów był umrzeć, sparszywiła, skurwiła się i rozmyła w śląskiej polityce. Wszedł do pokoju swojego syna, aby widokiem spokojnie oddychającego pod kołdrą syna ukoić swoją nieodłączną towarzyszkę mizantropię.

Jednak łóżko było puste. Nie było też Gerdy. Był za to list.

Andrzej przez wszystkie te lata uprawiał politykę. A politykę uprawia się, spędzając godziny na naradach przy mocnej kawie, na bankietach przy wódce, na spotkaniach przy papierosie. Trzeba przemierzyć kilometry wysokich korytarzy śląskiego Sejmu, wdrapywać się na schody do tysięcy mieszkań, domów i kwater, odbyć tysiące rozmów telefonicznych. Zawierać niechciane przyjaźnie, pozbywać się znajomych wbrew sympatii. Andrzej oddał się polityce – Polsce, jak sądził na początku – bez reszty.

I tamtego dnia nie było Gerdy i Fryderyka w domu.

Chłopiec wiele czasu spędzał z ojcem matki, dla którego najdonioślejszym wspomnieniem z dzieciństwa była wojna 1870 i cesarska koronacja w Wersalu, nie bardzo było mu więc w smak, że jego wnuk miałby być Polakiem. Dziadek Frycka, Ernst Siegling, był skromnym urzędnikiem na poczcie i w bezpośrednim starciu, którego stawką była narodowość chłopca, nie miałby szans ze swoim zięciem, zaprawionym bojownikiem. Jednak Andrzej oddał syna walkowerem.

I dlatego właśnie sierpniowego poranka 1937 roku Gerda ze swoim synem siedziała w samochodzie jadącym mikołowską szosą na Gliwice.

Dwa lata później Fritz w szeregach 28. Dywizji Piechoty Wehrmachtu przemierzył tę samą drogę, lecz w drugą stronę.

W 1937 roku jechał, tuląc płaczącą matkę, z silnym postanowieniem, że zostanie dobrym Niemcem, czym najdotkliwiej ukarze ojca. Trzy tygodnie później po załatwieniu formalności wstąpił do Hitlerjugend, a na wiosnę 1938 zaciągnął się na ochotnika do wojska. Mówił po niemiecku z twardym akcentem. Koledzy dokuczali mu, przezywając „wasserpolakiem”. Bronił go wtedy Moritz, zawstydzając innych przemową, w której zarzucił szydercom, że ich zasługa w byciu Niemcem jest taka, jaką świnia ma w byciu świnią. Urodzili się Niemcami i nic więcej, tymczasem Fritz wybrał bycie Niemcem, jego niemieckość jest efektem świadomej decyzji. Chłopak zapamiętał sobie te słowa i był ze swojej niemieckości dumny, i pielęgnował przyjaźń do Moritza.

Ale teraz, w wigilię świąt Bożego Narodzenia na Kaukazie, czuł tylko nienawiść, zazdrość i żal. Cóż takiego uczynił na tym patrolu jego przyjaciel, czym bardziej zasłużyłby na Krzyż niż on? Czy to tylko tym, że Moritz był z bawarskiej szlachty i jego ojciec podobno dwadzieścia lat temu poznał *Führera*?

A jego, Fritza, pominięto, bo ma ojca Polaka. Wyparł się go, zmienił nazwisko, walczy dla Niemiec, a oni nim gardzą. Jego ojciec miał herb, Dąbrowa, ale to nic – lepszy byłby ostatni łajdak, szewc albo krawiec, byle rodzony Niemiec.

Lecz Fritz przejął od swego ojca subtelny zmysł, cechę, która pozwala intuicyjnie dostrzegać rozkład nakładających się na siebie matryc oficjalnych struktur i wewnętrznych powiązań.

Bez tego zmysłu widać po prostu kompanię. Jest major, który dowodzi, są oficerowie, podoficerowie i szeregowcy. Bez tego zmysłu nie uda się żadna polityczna gra – bo jakże grać, nie widząc boiska, kiedy nie umiemy dostrzec, że w tej kompanii najpotężniejszy jest nie major, a zwykły kapral, ordynans Boli. To on ma dostęp do majora, kiedy ten pogrąża się w artystycznej depresji i wspomina piękne czasy, w których arystokratyczne nazwisko nie było zobowiązaniem, lecz eleganckim dodatkiem do nihilistycznego życia berlińskiej bohemy. Swoje *von* i *zu* pisał wtedy tak, jak zawiązuje się jedwabny krawat.

A dzisiaj zamiast po porannym espresso siadać do maszyny do pisania dowodzi banda prostaków. Zamiast wygodnej bonżurki i fularu gruba wełna munduru *feldgrau*. Żeby nie zwariować, zamyka się w swojej kwaterze (ściany z desek, przez które ciągle przesypuje się ziemia...) z butelkami gruzińskiego koniaku i pisze. Nikt nie ma wtedy do niego dostępu inaczej niż przez ordynansa, który rozumie, jak obce są panu majorowi wojenne obowiązki. Major ufa mu, a on tego zaufania nie zawiedzie i nie nadużyje. Podejmuje decyzje takie, jakie sam pan major by podjął, gdyby zechciał się zniżyć do ich poziomu. Opracował nawet system podawania papierów do podpisu – przypina je klamerkami do podłużnej deseczki, ułożone w schodki, zaś miejsce, w którym pan major ma złożyć podpis zaznacza czerwonym atramentem. Dowódca wie,

jak ważne są dokumenty, więc czasem, co kilka dni, poświęca swój czas i każe przynieść papiery. Uprościł swój autograf, opracował jego wojenną wersję pozbawioną manierystycznych zawijasów i secesyjnego kroju liter – w ciągu minuty jest w stanie podpisać i piętnaście papierów.

Jednak dokumenty to nie wszystko. Kiedyś kapral nie potrafił dobrze referować problemów. Mówił: „Panie majorze, brakuje nam amunicji, co robić?” albo „Sierżant Munch kolbą karabinu stłukł swojego podwładnego, strzelca Kirsta, czy zechce pan zareagować?”.

Gdy pan major miał nastrój artystyczny, podobne pytania ściągały go brutalnie na ziemię. Nic dziwnego, że często wpadał we wściekłość, raz nawet strzelił w stronę ordynansa z pistoletu. Ale kapral pojął, gdzie leży kość niezgody, i zaczął przedstawiać sprawy w sposób następujący: „Panie majorze, zabrakło nam amunicji, zechce pan podpisać zamówienie do zaopatrzenia – o, tu – to środowym transportem przyjdzie”, „Sierżant Munch stłukł strzelca Kirsta kolbą, ale Kirstowi się należało, bo to obibok i złodziej. Pozwoliłem sobie przekazać Munchowi, że pan major nie życzy sobie więcej tego typu zajść w kompanii, ale tym razem jeszcze sierżant nie zostanie ukarany”. Pan major, nie odrywając wzroku od książki, kiwał tylko głową.

Dlatego właśnie na wszelki wypadek Fritz od początku służby starał się przypodobać kapralowi. Ot, tak dla świętego spokoju. Podrzucił mu czasem coś dobrego z matczynej paczki, przyniósł zdobyczną butelkę wina, zaoferował pomoc w glansowaniu majorowych butów. A kapral lubił Ślązaka i nieraz odwdzięczał się małymi przysługami i uprzejmościami, na których zasada się każda sympatia.

Fritz dostrzegał też rzeczy subtelniejsze, takie jak niewidoczna dla niewprawnego oka miłość kaprala. Kapral Böll mianowicie kochał Adolfa Hitlera.

Nie sprawiał wrażenia zapiekłego nazisty, nie należał do tych butnych mężczyzn, którzy ciężkimi butami tupali po bruku każdego niemieckiego miasteczka. Kapral Böll był niepozornym chłopcem, grzecznym i spokojnym, osieroconym przez zabitego pod Sommą ojca. Pochodził z pobożnej robotniczej rodziny, wychowywał się z matką, która pracowała jako służąca w bogatych domach. Böll nie miał rodzeństwa, a matka nauczyła go, że trzeba wtapiać się w tłum, nie wdawać w dyskusje, słuchać poleceń i wykonywać je jak najlepiej.

Ich mieszkanie składało się z pokoiku z kuchnią, a honorowe miejsce na ścianie zajmowało zdjęcie ojca w mundurze, podmalowane bladymi pastelami. Mały Böll wdrapywał się na szeszlone, opierał dłońmi o ścianę i wpatrywał w mężczyznę oprawionego w szkło. Prawa ręka ojca opierała się na bagnecie, lewą przyciskał do piersi. Wzrok przykuwała duża głowa o pulchnych policzkach zabarwionych różowym kolorem z kontrastem wąsików podkreślających perkaty nos, podkreślonych i nasmarowanych brylantyną. Głowę wieńczyła okrągła czapka z czerwono-biało-czarnym bączkiem, lecz uwaga chłopca skupiała się na dwóch baretkach oczu, dużych i ciemnych jak u dziewczyny, tak dziwnie nie pasujących do tej

porządnej, niemiecko-mieszczkańskiej fizjonomii. Okolone długimi rzęsami wpatrzone były w jakiś punkt znajdujący się daleko za obiektywem ładowanego szklanymi kliszami aparatu, którym zdjęcie wykonał Johann Dreise, jak informowała dystygowana pieczętka na passe-partout.

Mały Böll, patrząc na zdjęcie, co jakiś czas raptownie się odwracał przekonany, że stary Böll patrzy na coś, co pojawia się na przeciwległej ścianie, na coś wartego takiej skupionej uwagi, co złośliwie znika, gdy tylko przyszy kapral odwróci głowę, aby zobaczyć To, Na Co Patrzy Tata.

Ciężki pocisk z francuskiego moździerza zmieszał ciało Taty z belgijską glebą, a potem razem z deszczem spłynęło ono w ziemię, zmieniając się ostatecznie w błoto, czyli mokry proch. Na zdjęciu młody Boli zbudował legendę ojca, wąsatego, odważnego mężczyzny, który ciągle bije Francuzów, chociaż wszyscy inni się poddali. Arnim Böll, którego ciała nikt nie widział, bo zniknęło, w głowie syna dosiada karego konia i z karabinem w dłoni gna przed sobą całą francuską dywizję. Zapędził się już tak daleko, że nie może wrócić. Czasem tylko spogląda przez ramię, ale jego wzrok nie pada wtedy na małego synka, lecz na To, Na Co Patrzy Tata.

Matka Boli kręci głową, słuchając słów, które jej smutny syn mruczy pod nosem, pochylając się nad talerzem z zupą, a przyszy kapral Böll, dorastając, zaczyna rozumieć, że nie ma żadnego karego konia, że to nie rumak, a błoto pod Sommą niesie to, co zostało z jego Taty.

Zbiega się to w czasie z odkryciem Niemiec, którego młody Boli dokonuje przypadkiem, pytając mamę, dlaczego Samuel nie idzie z nimi w niedzielę do zboru. To łączy się jakoś z odkryciem śmierci ojca, zlewa się w jedno i zamienia w rozpaczliwy, dumny patriotyzm. Wychowanie i skromność nie pozwalają młodemu Böllowi chodzić na manifestacje, nie przyłącza się do bojkotów, nie bierze udziału w zamieszkach, ale gdy ma piętnaście lat, zaczyna pojmować, że ten dziwny człowiek z małym wąsem rozumie ofiarę Arnima Bölla, który wsiąkł w belgijską ziemię. Wszyscy inni zapomnieli, a ten człowiek rozumie. Ten człowiek rozumie, jak mały Boli patrzy na czerwone i grube dłonie swojej matki, kiedy ta wraca wieczorem ze służby.

Młody Boli nie uważa się za dość dobrego, aby zapisać się do Hitlerjugend, gdy HJ staje się obowiązkowe, chłopiec jest już młodym mężczyzną, zaś do NSDAP nie wstępuje, bo nie jest, w swoim pojęciu, godny tego zaszczytu. Gdy trafia do wojska, jego matka nie może już nad tym ubolewać, bo umarła. Wśród nowych kolegów Böll tylko raz publicznie mówi o swoich uczuciach do Wodza. Wyśmiany – milknie.

Zrozumiał, że nie powinien opowiadać o swoim uwielbieniu. Nigdy nie czuł potrzeby dzielenia się swoimi uczuciami. Chciał służyć Niemcom, służąc kanclerzowi.

Ciągle jest cichy, skromny i pracowity, i przez wzgląd na te cechy zostaje ordynansem i awansują go na kaprala. Jednak jest tylko człowiekiem, nie stał się prywatnym świętym narodowego socjalizmu. Nie całym sercem poświęcił się idei, ma również swoje, osobiste

namiętności. Jedną namiętność. Nienawiść.

Böll, dorosły, mądrzejszy Böll, nienawidzi tych, którym służyła jego matka, biedna wdowa po bohaterze wojennym. Tych, którzy gdy ojciec i jemu podobni wsiąkali w ziemię, nie wyściubiali nosa z pałaców. Tych, którzy nie odrywając wzroku od książki, unosili tylko nogi, aby matka Bölla mogła umyć parkiet pod fotelem, na którym oni umościli swoje tłuste zadki.

Także Fritz dzięki swej zdolności dostrzegł nienawiść kaprala Bölla.

Nagle leżący obok syn bawarskiego arystokraty Moritz, obracający w palcach swój Żelazny Krzyż, rozgoryczenie Fritza, wpływ Bölla na dowódcę kompanii i jego prywatne namiętności połączyły się w głowie młodego Ślązaka w możliwość działania, a następnie w decyzję.

Pozwalamy w sobie mieszkać poglądom, których nie pielęgnujemy. Nie należą do ścisłego rdzenia intelektualnej formacji, jaką dane nam było odebrać, żyją w nas na poboczu, nie myślimy o nich za wiele, nie przypuszczamy nawet, że chcielibyśmy ich bronić. I czasem życie wystawia na próbę nie główną część naszego światopoglądu, lecz testuje coś, w co wierzyliśmy niejako na marginesie.

Kiedy zapytali Moritza, czy to prawda, że wyrażał się pogardliwie o *Führerze*, uspokoił się – nic prostszego niż wyłgać się z takich podejrzeń. Bał się, że zapytają jeszcze raz o *Feldfebla* Grunna, którego osobiście zastrzelił, ratując życie paru kaukaskim góralom. Wymyślił wtedy mocną historyjkę o rosyjskim snajperze, w którą prowadzący połowe śledztwo uwierzyli, bo chcieli wierzyć. Bał się również trochę, że zapytają o Żelazny Krzyż... Tak się cieszył z tego kawałka metalu, taki sam z dumą nosili jego ojciec i dziadek, tak się cieszył, że wróci do domu i w oczach ojca stanie się godnym dziedzicem rycerskiej krwi. Tym razem Krzyż należał się bardziej młodemu Ślázakowi – ale Moritz tyle już dla niego zrobił, że to drobne oszustwo potraktował jako niewielką rekompensatę za swoją sympatię. A zatem – drobnostka...

I z powodu tego spokoju właśnie tym bardziej zdziwił się własnym słowem. Słyszał je, wydobywały się z jego gardła, ale nie mówił ich sam. Mówiła za niego krew, której kolor na błękitny zmienili ofiarą życia złożonego w piaskach hrabstwa Edessy mężczyźni śmierdzący potem, odziani w kolczugi i hełmy. Moritz nie mógł tego wiedzieć, ale to właśnie te słowa sprawiły, że stał się godnym potomkiem szewca z Norymbergi, Ottona, który ginąc, swojego syna Hermanna uczynił rycerzem (koń potyka się na piasku, popręg nie wytrzymuje ciężaru odzianego w kolczugę wojownika i ten wali się na ziemię razem z kulbaką, próbuje wyswobodzić stopy ze strzemion, ale saraceńska lanca jest szybsza).

Najpierw jednak spłodził syna – i tak linia przelanej krwi doszła aż do Moritza, który ciągle dziwiąc się własnym słowom, po raz trzeci potwierdza: tak, drwiłem sobie z *Führera*. Dlaczego? Ano, bo ten nieślubny, plebejski bastard obraża swoją nędzną osobą całe Niemcy. Dlatego, że tylko dzięki drwinie mogą ciągle kochać ten naród, kiedyś tak wielki, a dziś splugawiały tak bardzo, że pozwala takim nędznikom być jego władcami. Jakże wzniosłe było posłuszeństwo

cesarzom, potomkom najlepszych niemieckich rodów, jakże podła jest służalczość dla tego łajdaka. Jeden z przesłuchujących, przystojny kapitan noszący na szyi gwiazdę Pour Le Merite, najwyższego odznaczenia Cesarstwa, zaciska mocno zarysowane szczęki, aż grają mięśnie na policzkach, a Moritz odnajduje zrozumienie w jego głębokich, szarych oczach. Kapitan patrzy na pozostałych dwóch oficerów, lecz ci myślą o innym człowieku, który tak wiele może i siedzi teraz za nimi na prowizorycznym stołku, i uśmiecha się z satysfakcją.

Moritz sądził, że go rozstrzelają. Zamiast tego siedzi teraz na podłodze bydłęcego wagonu. Nie ma już pasa, dystynkcji, Żelaznego Krzyża. Korzystając ze światła przebijającego się przez szpary między deskami, z których zbudowane są burty wagonu, Moriz czyta dziwną książeczkę, którą wcisnął mu ukradkiem stalowooki kapitan, szepcząc, że nic więcej nie może zrobić:

*Damals wurde es mir deutlich, daß die Panik, dereñ Schatten immer über unseren großen Städten lagern, ihr Pendant im kühnen Übermut der Wenigen besitzt, die gleich Adlern über dumpfem Leiden kreisen. Einmal, als wir mit dem Capitano tranken, blickte er in den betauten Kelch wie in ein Glas, in dem vergangene Zeiten sich erschließen, und er meinte traumend: „Kein Glas Sekt war köstlicher als jenes, das man uns an die Maschine reichte in der Nacht, da wir Sagunt zu Asche brannten”. Und wir dachten: Lieber noch mit diesem stürzen, als mit jenen leben, die die Furcht im Staub zu kriechen zwingt.** [*Wówczas stało się dla mnie jasne, że panika, której cienie rozpościerają się zawsze ponad każdym z naszych wielkich miast, ma swój odpowiednik w odważnej bucie tych nielicznych, którzy jak orły krążą nad stłumionym cierpieniem. Pewnego razu Capitano, pijąc z nami, spojrzął w pokryty rosą kielich jak w szklaną kulę ukazującą przeszłość i w rozmarzeniu powiedział: – Żaden kielich szampana nie był wspanialszy od tego, który podano nam do maszyn tej nocy, gdy obróciliśmy Sagunt w perzynę. A my pomyśleliśmy: zawsze to lepiej runąć wraz z nim, niż żyć z tymi, których strach zmusza do pełzania w prochu. „Na marmurowych skałach”, Ernst Junger, tłum. Wojciech Kunicki]

Umrze w Dachau dwa miesiące później, zaraziwszy się tyfusem. Zaprawdę, umrze rycerską śmiercią.

Kapral Böll glansuje metodycznie wysokie oficerki majora, spokojny i syty spełnioną nienawiścią.

Fritz siedzi na pryczy i myśli, gdzież teraz może być Moritz.

* * *

Gorączka nie opadała. Schlieebex jeszcze raz poprosił o pomoc przez radio, bo okłady ani aspiryna nie pomogły. I po raz kolejny spotkał się z odmową. Z wściekłością walnął pięścią w aparat, szarpnął za wszystkie kable – coś trzasnęło, poszedł dym i wszystko zgasło.

Ukrył twarz w dłoniach, zastygł tak na minutę, po czym podniósł głowę, spojrzął na

bożonarodzeniową choinkę i postanowił kontynuować dalej kolędę, którą ktoś tam pewnie śpiewał do mikrofonu „Deutsche Welle”. Wyprostował się na krześle i niskim głosem zaśpiewał cicho:

*Stille Nacht! Heil'ge Nacht!
Gottes Sohn, o wie lacht
Lieb' aus deinem göttlichen Mund,
Da uns schlägt die rettende Stund'.
Jesus in deiner Geburt!*

Frycek otworzył oczy i podniósł się na pryczy.

– *Feldfebel*, co się dzieje? – zapytał.

Saksończyk przyskoczył do chłopca.

– Leż, Frycku, leż. Nic się nie dzieje, wzywałem pomoc przez radio, już wysłali po ciebie transporter – trajkotał. Dotknął czoła chłopca i cofnął zaraz dłoń zaskoczony. Gorączka ustąpiła, nagle, jak duch – gorączkowy pot jeszcze nie zaschnął, ale skóra była już chłodna.

– Czujesz się już lepiej? – zapytał coraz bardziej zdziwiony Schlieebex.

– No, zwyczajnie, *Feldfebel*. Nijak się czuję – odpowiedział Frycek.

Drzwi domku impetem eksplozji wyrwane z zawiasów wleciały do środka i wyrznęły w okno naprzeciw. Z ciemności natychmiast odezwały się pojedyncze strzały, a kilka pocisków głucho pacnęło o drewniane ściany domu. Wszystkie szyby posypały się w rozdzwonionym deszczu odłamków, spadając na podłogę i meble. Frycek i *Feldfebel* jak wystrzeleni z procy skoczyli po broń, dopadli do pozbawionych szyb okien i zaczęli strzelać w ciemność.

Odpowiedziało im kilka strzałów. Frycek nic nie widział, ale przeładowywał karabin, naciskał spust i znów przeładowywał, strzelał w ciemność, podczas gdy przeciwnicy widzieli ich doskonale w rozświetlonych prostokątach okien. Gdy skończyły mu się naboje w magazynku, zorientował się, że jest cicho – już nikt nie strzelał. Przycupnął więc za oknem, wpatrując się w ciemność, wyglądając jakiegoś ruchu, czegoś, do czego mógłby wycelować.

Nic nie zauważył.

– Co to było, *Feldfebel*? Poszli sobie?

Nie usłyszał odpowiedzi, odwrócił się – Schlieebex leżał na podłodze, krwawiąc obficie z rany pod obojczykiem. Był nieprzytomny. Chłopiec znalazł szybko bandażę i opatrzył ranę jak umiał najlepiej. Następnie postarał się ułożyć swego dowódcę wygodnie na podłodze, podłożywszy mu pod głowę zrolowany koc. Gdy przyklęknął, poczuł nagły ból w lewym ramieniu – dotknął palcami rękawa bluzy i cofając je, ze zdziwieniem stwierdził, że są czerwone od krwi. Postrzał! Jak mógł wcześniej nie zauważyć? Nie bolało wcale. Ściągnął więc kurtkę

i obejrzał ranę. Nie wyglądała groźnie, raczej jak zadraśnięcie. Owinął więc byle jak bandażem i założył kurtkę. W izbie zrobiło się lodowato. Frycek przez chwilę rozważał, czy najpierw wzywać pomoc, czy raczej zająć się prowizorycznym osłonięciem wyrwanych drzwi i wybitych okien, aby ochronić się przed zimnem. Zdecydował, że najpierw wezwie pomoc – usiadł więc do nadajnika i spróbował go uruchomić. Nie udało się – po chwili zauważył pozrywane kable. Nie znał się na tym i po paru próbach naprawienia aparatu poraził go prąd.

Wziął pistolet maszynowy *Feldfebla* i zaczął przygotowywać się do drogi. Z drewnitni wyciągnął lekkie sanki i wtaszczył je do izby. Niemałym wysiłkiem ułożył na nich swojego dowódcę, księgę kodów (wiedział, że tej niepozornej książki nie można w żadnym wypadku zostawić wrogowi), mapy, z karabinu wyjął zamek i schował do kieszeni, żeby nie zostawiać wrogowi sprawnej broni, amunicję cisnął gdzieś w śnieg. W nogach Schlieebexa ułożył trochę jedzenia, następnie przykrył swój ładunek dwoma płaszczami i kożuchem, po czym obwiązał mocno rzemieniami. Ubrał się ciepło, kożuszek przepasał dodatkowym pasem, do którego przywiązał sznur od sanek, do kieszeni włożył dwa pełne magazynki. Już na dworze przypiął narty, na piersiach powiesił peem, wziął kijki i nie zważając na pulsujący ból ramienia, które teraz zaczęło przypominać o ranie, sprawdził kierunek na kompasie i dziarsko ruszył drogą, którą – jak mu się wydawało – znał doskonale. Gdy mijał miejsce, w którym zakopali Lapończyka, przystanął na chwilę, przeżegnał się i zmówił krótki pacierz.

Na nartach posuwał się dosyć szybko mimo ciężkiego ładunku. Jednak siły opuszczały go jeszcze szybciej. Po dwóch godzinach marszu był wyczerpany, ale szedł dalej. Wreszcie, gdy fosforyzujące wskazówki zegara stwierdziły, że idzie już piątą godzinę, postanowił zrobić krótki odpoczynek. Odpiął rzemienie sań, narty i usiadł, opierając się o pień wysokiej jodły. Zdjął rękawice i odgarniając futra i tkaniny, dotknął szyi swojego dowódcy.

Hoimar Schlieebex nie żył.

Człowiek, który przeżył nawałę żelaza w okopach wojny światowej, nieraniony przez żaden z miliardów pocisków wystrzelonych w tamtych dniach, zginął od jednej z kilkunastu kul wystrzelonych tego wieczoru. I od norweskiego, polarnego zimna.

Frycek otulił się mocniej płaszczem, podciągnął kolana pod brodę i schował twarz w ramiona. Krew powoli wypływała z niezasklepionej rany, spod źle założonego opatrunku, a mróz szybko przegryzał się przez owczą skórę kożucha i wełniane sploty płaszcza.

* * *

Frycek, Frycek. Stowej, syneczku, stowej, co byś niy był za niyskoro... [Frycek, Frycek. Wstań, synku, wstań, żebyś się nie spóźnił...]

* * *

Wstań. Uniósł więc łokcie, wparł się dłońmi w pylistą ziemię, uniósł grzbiet. Wargi miał popękane, usta, nozdrza i oczy pełne drobnego, na pył zmielonego pustynnym wiatrem piasku. Trzeba iść do światła, które gorzeje nad horyzontem, a delikatnym blaskiem rozjaśnia rosnące nieopodal krzewy tamaryszku. Frycek podciąga więc kolana, klęka i z trudnością wstaje. Ziemia, zeschnięta na pył, pokryta jest siatką płytkich pęknięć. Kałuże w czerwcu, gdy po deszczu mocno zaświeciło słońce, pokrywały się taką samą warstewką spękanego, zeschniętego błota, myśli Frycek. Tylko tutaj pęknięcia są takie, że mogłaby uwięznąć w nich stopa. Gdyby miał karabin, mógłby użyć go jako laski, ale nie ma broni ani oporządzenia. Idzie więc, chwiejąc się i potykając, w stronę zorzy, która różowym i niebieskim światłem rozpala niebo. Nie jest sam. Zewsząd pojawiają się podobne mu postaci, idące tak samo chwiejnym krokiem, inni leżą jeszcze na ziemi albo właśnie wstają. Nie zwracają na siebie uwagi, idą do przodu w stronę światła.

Jest już jasno jak w dzień. Sklecona z desek i bali szopa – oto, na co wskazują mieniające się promienie światła. Fritz wchodzi do środka, gdzie nad wymoszczonym sianem korytem pochyła się wysoka postać. Obok, przykryta derką, wolno oddycha kobieta. Spoczywające w korycie niemowlę niedawno się narodziło. Czarne włoski oblepiają miękką czaszkę, mokre jeszcze od wód płodowych, dziecko zaciska maleńkie piąstki, zaciska powieki na ślepych oczkach, matka nie obmyła go jeszcze z krwi. Frycek pochyła się nad maleństwem, a ono otwiera oczy i chociaż nie powinno, patrzy i widzi, spogląda Fryckowi w oczy, i wszystko – szopa, mężczyzna, kobieta, koryto, dziecko – wszystko znika. Ziemia z hukiem wypiętrza się we wzgórze, a Fryc klęczy, kolanem przyciska do solidnej belki wątłe ramię skazańca i drewnianym młotem uderza w łeb hufnala, który z obrzydliwym chrzęstem przebija się między kośćmi, ścięgnami i chrząstkami nadgarstka. Skazaniec wypręża się, krzycząc, a Frycek z zaciśniętymi z nienawiści zębami wbija długi gwóźdź, nie bacząc na to, że krew obryzguje mu twarz i dłonie. Nagle jest ich tutaj tak wielu i pomagają mu postawić krzyż, ale Fryc wie, że to on jest tutaj najważniejszy. Krzyż już stoi i okładają go jeszcze kamieniami, aby stał pewnie, i spoglądają na przeżące się mięśnie skazańca, które jeszcze próbują utrzymać ciężar ciała. Ach, czemuż nie jest tylko z materii światła! I gdy w końcu mięśnie wiotczeją i ramiona wyciągają się w dół, zebra nie mogą już ścisnąć przepony, napręża się raz jeszcze, udaje mu się nabrać tyle powietrza, aby po raz tysięczny wyszeptać ciche słowa rozpacz, i umiera. Fryc, płacząc, chwytając za leżący obok karabin, wspina się na palce i bagnetem przebija bok, ostrze prześlizguje się między żebrami. Skóra rozstępuje się pod stalą i z rany wypływa kropla krwi, po czym spomiędzy żeber skazańca tryska ogromny strumień wody, wielki i świetlisty. Oblewa Frycka, mundur rozmaka na nim jak mokry papier i płynie razem z wodą, stal bagnetu zamienia się w rdzawy pył, a woda ciągle

płynie i obmywa Frycka z wszelkich namiętności i z ciała, które spływa z niego warstwa po warstwie i wsiąka w wyschniętą ziemię. Woda zmywa też ziemię, krzyż, kamienie i wszystko. I zostaje tylko Friedrich i Skazaniec, który jest już samym światłem. Mówi do chłopca po imieniu i podaje mu świetlistą dłoń, aby ułatwić ten pierwszy, najtrudniejszy krok w górę.